



HARLAN COBEN

Na gorącym uczynku

Thriller

Prolog

Wiedziałem, że po otwarciu tych czerwonych drzwi moje życie legnie w gruzach.

Tak, to brzmi melodramatycznie i złowieszczo, a ja nie jestem skłonny do jednego czy drugiego, i to prawda, że te czerwone drzwi wcale nie wyglądały groźnie. W istocie były zupełnie zwyczajne, drewniane i czteropłycinowe, takie, jakie widuje się na frontach trzech z każdych czterech podmiejskich domów, z wyblakłą farbą, nieużywaną już przez nikogo kołatką na wysokości piersi oraz klamką z imitacji mosiądzu.

Jednak kiedy się do nich zbliżałem, w blasku odległej latarni ledwo oświetlającym mi drogę, to ciemne przejście było niczym paszcza gotowa połknąć mnie całego, i nie mogłem odpędzić złych przeczuc. Każdy kolejny krok wymagał ogromnego wysiłku, jakbym szedł nie po lekko popękanym chodniku, lecz po jeszcze niezastygłym cemencie. Moje ciało słało wszystkie klasyczne sygnały zagrożenia.

Ciarki przebiegające po plecach? Owszem. Włosy stające dęba? Tak. Swędzenie nasady karku? Było. Mrowienie skóry na głowie? Jak najbardziej.

Okna domu były ciemne, w żadnym nie paliło się światło. Chynna uprzedziła mnie, że tak będzie. To miejsce nie wiadomo dlaczego wydawało się trochę zbyt sztampowe, zbyt niepozorne. To z jakiegoś powodu mnie niepokoiło. Ponadto dom stał na samym końcu ślepej uliczki, nieco odosobniony, i majaczył w ciemności, jakby chciał odpędzić intruzów.

Nie podobał mi się.

Nie podobało mi się to wszystko, ale tym się zajmuję. Kiedy zadzwoniła Chynna, właśnie zakończył się mecz drużyny koszykówki Newark Biddy, czwartoklasistów ze śródmieścia, której byłem trenerem. Drużyna, która składała się z dzieci, tak jak ja wychowywanych w rodzinach zastępczych (nazwaliśmy się NoRents, co jest skrótem od *No Parents** i przejawem wisielczego humoru), zdołała w ciągu dwóch ostatnich minut stracić sześciopunktową przewagę. Na boisku tak samo jak w życiu NoRents nie radzą sobie pod presją.

Chynna zadzwoniła, kiedy zbierałem moich młodych koszykarzy na pomeczową przemowę, w której zazwyczaj przekazywałem im takie budujące i wnikliwe uwagi, jak: „Daliście z siebie wszystko”, „Załatwimy ich następnym razem” lub „Nie zapomnijcie, że gramy w następny czwar-

* *No Parents* (ang.) — rodziców brak.

tek”, i zawsze kończącą się hasłem „Zwarci”, po którym następuje chóralny odzew „W obronie!”, zapewne wybrany dlatego, że w ogóle nam to nie wychodzi.

— Dan?

— Kto mówi?

— Tu Chynna. Proszę, przyjedź.

Powiedziała to drżącym głosem, więc zwołałem zespół, wskoczyłem do samochodu i tak znalazłem się tutaj. Nawet nie zdążyłem wziąć prysznica. Teraz zapach potu z sali gimnastycznej mieszał się z wonią potu wywołanego strachem. Zwolniłem kroku.

Co się ze mną dzieje?

Przede wszystkim zapewne powinienem wziąć prysznic. Bez tego jestem do niczego. Zawsze. Jednak Chynna nalegała. „Teraz — błagała. — Zanim ktoś wróci do domu”. „Tak więc byłem tu, w szarej bawełnianej koszulce pociemniałej od potu i oblepiającej pierś, kierując się do tych drzwi.

Jak większość nastolatków, z którymi pracuję, Chynna miała poważne problemy i może właśnie to mnie zaalarmowało. Nie podobał mi się ton jej głosu w słuchawce, a to otoczenie bynajmniej mnie nie uspokoiło. Odetchnąłem głęboko i obejrzałem się za siebie. W oddali zobaczyłem kilka oznak nocnego podmiejskiego życia — oświetlenie domów, migotanie telewizora lub monitora komputerowego, otwarte drzwi garażu — lecz w tym zaułku ich nie było, żadnego dźwięku ani ruchu, tylko przyczajony mrok.

Mój telefon komórkowy zawibrował i o mało nie wyskoczyłem z butów. Pomyślałem, że to Chynna, ale nie,

dzwoniła Jenna, moja była żona. Wcisnąłem klawisz połączenia.

— Cześć — rzuciłem.

— Mogę cię prosić o przysługę? — zapytała.

— W tym momencie jestem trochę zajęty.

— Potrzebna mi opiekunka do dziecka na jutrzejszy wieczór. Możesz przyjść z Shelly, jeśli chcesz.

— Shelly i ja, mamy... hm... kłopoty.

— Znowu? Przecież to doskonała kobieta dla ciebie.

— Mam problem z utrzymaniem doskonałych kobiet.

— Jakbym nie wiedziała.

Jenna, moja śliczna była, ponownie wyszła za mąż osiem lat temu. Jej nowy mąż, Noel Wheeler, jest powszechnie szanowanym chirurgiem. Pracuje charytatywnie w moim ośrodku pomocy dla młodzieży. Lubię Noela, a on lubi mnie. Ma córkę z poprzedniego małżeństwa, a z Jenną sześciolletnią córeczkę o imieniu Kari. Jestem chrzestnym Kari i obie dziewczynki nazywają mnie wujek Dan. Jestem ich etatową opiekunką.

Wiem, że to wszystko brzmi bardzo cywilizowanie i idealistycznie, i zapewne takie jest. W moim przypadku może to być po prostu kwestia wewnętrznej potrzeby. Nie mam nikogo innego — rodziców ani rodzeństwa — tak więc moja była żona jest dla mnie substytutem rodziny. Dzieciaki, z którymi pracuję, którymi się opiekuję, próbując je wspierać i ich bronić, są moim życiem, chociaż nie jestem pewny, czy moje starania w ogóle coś dają.

— Ziemia do Dana? — powiedziała Jenna.

— Przyjdę.

— Osiemnasta trzydzieści. Jesteś super.

Jenna cmoknęła w słuchawkę i rozłączyła się. Przez chwilę patrzyłem na telefon, wspominając dzień naszego ślubu. Popeliłem błąd, żeniąc się. Za bardzo zbliżam się do ludzi, jednak nie potrafię tego unikać. Niech ktoś zagra na skrzypkach i posmęci filozoficznie, że lepiej kochać i żałować, niż nie kochać i żałować, że się nie kochało. Mnie to raczej nie dotyczy. Ludzie mają w genach powtarzanie tych samych błędów, chociaż doskonale zdają sobie z tego sprawę. Tak było ze mną, biednym sierotą, który wspiał się na pierwsze miejsce w swojej klasie elitarnej szkoły, ale nigdy nie zdołał zapomnieć o tym, kim jest. To sentymalne, ale chcę kogoś mieć. Niestety, nie jest mi to pisane. Jestem samotnikiem, który nie powinien być sam.

„Jesteśmy odpadami ewolucji, Dan...”.

Tego nauczył mnie mój przybrany ojciec. Był profesorem college’u i uwielbiał dysputy filozoficzne.

„Zastanów się, Dan. W całej historii ludzkości, co robili najsilniejsi i najbystrzejsi? Toczyli wojny. Zaprzeszali tego dopiero w ostatnim stuleciu. Przedtem posyłałiśmy naszych najwybitniejszych na pierwszą linię frontu. Kto więc zostawał w domu i przedłużał gatunek, podczas gdy najlepsi ginęli na odległych polach bitewnych? Chromi, chorzy, słabi, łajdacy i tchórze, krótko mówiąc, najgorsi z nas. Dlatego jesteśmy genetycznym odpadem, Dan — w wyniku setek lat eliminowania wybitnych i pozostawiania kiepskich.

Właśnie dlatego jesteśmy śmieciem — rezultatem odwiecznej selekcji negatywnej”.

Zignorowałem kołatkę i lekko zapukałem w drzwi. Uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Nie zauważyłem, że były tylko przymknięte.

To też mi się nie spodobało. Nie podobało mi się tu wiele rzeczy.

Jako dzieciak oglądałem dużo horrorów, co było dziwne, ponieważ ich nienawidziłem. Nie lubiłem, jak coś na mnie skakało. I nie znosiłem krwawych scen. Pomimo to oglądałem je, bawiąc się jakże przewidywalną głupotą głównych bohaterów. Teraz te obrazy przelatywały mi przez głowę, sceny, gdy jedna z wyżej wspomnianych bohaterów puka do drzwi, które uchylają się nieco, a ty krzyczysz do niej: „Uciekaj, ty skąpo odziana wywłoko!”, lecz ona tego nie robi, czego nie możesz zrozumieć, i dwie minuty później morderca rozbija jej czaszkę i wyjada mózg.

Powinienem natychmiast odejść.

Prawdę mówiąc, chciałem. Potem jednak przypomniała mi się rozmowa z Chynną, to, co powiedziała, i jej drżący głos. Westchnąłem, przysunąłem twarz do szpary w drzwiach i zajrzałem do przedsionka.

Ciemność.

Dość tej szpiegowskiej scenerii.

— Chynna?

Mój głos odbił się echem. Oczekiwałem ciszy. Taki powinien być następny krok, prawda? Brak odpowiedzi.

Uchyliłem drzwi jeszcze trochę, ostrożnie zrobiłem krok do przodu...

— Dan? Jestem z tyłu. Wejdz.

Jej głos był stłumiony, daleki. To też mi się nie spodobało, ale w żadnym razie nie mogłem się teraz cofnąć. Wycofywanie się kosztowało mnie w życiu zbyt wiele. Przestałem się wahać. Już wiedziałem, co trzeba zrobić.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do środka i zamknąłem je za sobą.

Ktoś inny na moim miejscu zabrałby pistolet albo jakąś inną broń. Zastanawiałem się, czy to zrobić. Jednak to nie w moim stylu. Teraz nie czas, żeby się tym martwić. „Nikogo nie ma w domu” — tak powiedziała mi Chynna. A gdyby nawet, no cóż, poradzę sobie z tym, jeśli będzie trzeba.

— Chynna?

— Wejdz do salonu, zaraz tam przyjdę.

Jej głos brzmiał... dziwnie. Zobaczyłem światło na końcu korytarza i ruszyłem w tym kierunku. Usłyszałem jakiś dźwięk. Przystanąłem i nasłuchiwałem. Odgłos płynącej wody. Może prysznic.

— Chynna?

— Przebieram się. Zaraz przyjdę.

Wszedłem do słabo oświetlonego salonu. Zauważyłem pokręto ściemniacza i zacząłem się zastanawiać, czy ustawić jaśniejsze światło, ale w końcu zostawiłem je w spokoju. Moje oczy bardzo szybko przyzwyczajały się do półmroku. Tandetne drewniane panele wyglądały na zrobione z czegoś

bardziej zbliżonego do plastiku niż rosnącego w lesie. Dwa portrety kłownów z ogromnymi kwiatami w klapach wyglądały jak trofea z jakiejś szczególnie nędznej wyprzedaży likwidowanego motelu. Na barku stała otwarta gigantyczna butelka niemarkowej wódki.

Wydawało mi się, że usłyszałem szept.

— Chynna?! — zawołałem.

Żadnej odpowiedzi. Stałem i nasłuchiwałem kolejnego szeptu. Nic.

Ruszyłem na tyły domu, tam, skąd dobiegał szum wody.

— Zaraz przyjdę — powiedział kobiecy głos.

Przystanąłem i przeszedł mnie dreszcz. Ponieważ teraz znalazłem się bliżej, więc lepiej słyszałem. I właśnie dlatego wydał mi się bardzo dziwny.

Ponieważ nie brzmiał jak głos Chynny.

Targały mną trzy różne uczucia. Pierwszym był strach. To nie Chynna. Wynoś się z tego domu. Drugim ciekawość. Jeśli to nie Chynna, to kto, do diabła, i co się tu dzieje? Trzecim znów strach. Dzwoniła do mnie Chynna, więc co się z nią stało?

Nie mogłem teraz tak po prostu uciec.

Zrobiłem krok, zamierzając wejść, i właśnie wtedy to wszystko się stało.

Reflektor zaświecił mi w oczy, oślepiając mnie. Zatoczyłem się do tyłu, zasłaniając ręką twarz.

— Dan Mercer?

Zamrugałem. Kobiecy głos. Rzeczowy. Głęboki. Dziwnie znajomy.

— Kto to?

Nagle w pokoju pojawili się inni ludzie. Mężczyzna z kamerą. Drugi z czymś wyglądającym na mikrofon na drążku. I ta kobieta o znajomym głosie, oszałamiająco piękna, z kasztanowymi włosami i w garsonce.

— Wendy Tynes, *Eyewitness News*. Po co tu przyszedłeś, Dan?

Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Rozpoznałem tę kobietę z programu telewizyjnego, która...

— Dlaczego prowadziłeś przez Internet rozmowy o seksualnym charakterze z trzynastoletnią dziewczynką, Dan? Mamy zapis tych kontaktów.

...zastawia pułapki na pedofilów i nagrywa ich, żeby pokazać całemu światu.

— Czy przyszedłeś tu, żeby uprawiać seks z trzynastoletnią dziewczynką?

Nagle świadomość tego, co się tu dzieje, zmroziła mnie do szpiku kości. W pokoju zaroilo się od ludzi. Może byli to producenci programu. Drugi kamerzysta. Dwaj policjanci. Kamery zbliżały się do mnie. Światła stały się jeszcze jaśniejsze. Krople potu spływają mi po czole. Zaczynam coś mamrotać, zaczynam zaprzeczać.

Jednak jest już za późno.

Dwa dni później program wchodzi na antenę. Cały świat widzi.

I życie Dana Mercera, co w jakiś sposób przeczuwałem, podchodząc do tych drzwi, rozsypuje się w gruzy.

■ ■ ■

Kiedy Marcia McWaid po raz pierwszy zobaczyła puste łóżko córki, nie przestraszyła się. Strach przyszedł później.

Obudziła się o szóstej rano, wcześniej jak na niedzielny ranek, czując się po prostu wspaniale. Ted, jej mąż od dwudziestu lat, spał obok niej. Leżał na brzuchu, obejmując jej talię. Lubił spać w podkoszulku, ale bez spodni. Bez niczego. Goły od pasa w dół. „Żeby mój mały miał trochę swobody” — mawiał z kpiącym uśmiechem. A Marcia, naśladowując śpiewny głosik ich nastoletniej córki, odpowiadała: „zet-de-i”, czyli „za dużo informacji”.

Wyślizgnęła się z jego objęć i boso zeszła do kuchni. Zaparzyła sobie filiżankę kawy w nowym ekspresie marki Keurig. Ted kochał gadżety — ci chłopcy i ich zabawki — ale ten nawet do czegoś się przydawał. Wystarczyło wziąć saszetkę i włożyć ją do ekspresu — i proszę, jest kawa. Żadnych wyświetlaczy, dotykowych paneli czy bezprzewodowego podłączania. Marcia uwielbiała ten ekspres.

Niedawno skończyli przybudówkę — dodatkowy pokój i łazienka oraz wystrzałowa kuchnia z przeszklonym kąciem śniadaniowym. Ten kącik zapewniał mnóstwo porannego słońca i dlatego stał się ulubionym miejscem Marcii. Wzięła kawę oraz gazetę i usadowiła się na krześle przy oknie, siadając na podwiniętych nogach.

Kawałeczek nieba.

Zaczęła czytać gazetę i popijać kawę. Za kilka minut będzie musiała zacząć realizować plan dnia. Ryan, jej trzecioklasista, o ósmej rano ma mecz koszykówki. Ted był

trenerem jego drużyny. Ta już drugi sezon z rzędu nie wygrała żadnego meczu.

— Dlaczego twoje drużyny nigdy nie wygrywają? — zapytała go Marcia.

— Wybieram dzieciaki na podstawie dwóch kryteriów.

— Jakich?

— Czy ojciec jest miły, a matka seksowna.

Udała, że go policzkuje, i może trochę by się tym przejęła, gdyby nie widziała wystających za boczną linią matek i nie wiedziała na pewno, że żartował. Ted był wspaniałym trenerem, nie w kwestii strategii, ale podejścia do chłopców. Oni go uwielbiali, a także jego niechęć do rywalizacji, więc nawet nieudolni zawodnicy, którzy zwykle zniechęcali się i rezygnowali w trakcie sezonu, przychodzili co tydzień. Ted sparafrazował tytuł piosenki Bon Joviego *You Give Losing a Good Name*. Dzieciaki śmiały się i oklaskiwały każdy celny rzut, a kiedy jest się w trzeciej klasie, tak powinno być.

Czternastoletnia córka Marcii, Patricia, miała próbę szkolnego przedstawienia, będącego skróconą wersją musicalu *Nędznicy*. Wprawdzie grała w nim niewielką rolę, lecz ciężko pracowała. Najstarsza, Haley, uczennica klasy maturalnej, prowadziła „ćwiczenia kapitańskie” dziewczęcej drużyny lacrosse. Ćwiczenia kapitańskie były nieoficjalnymi porannymi treningami prowadzonymi według wytycznych dostarczonych przez szkołę. Krótko mówiąc, bez trenerów czy nauczycieli, luźne spotkania pod przewodnictwem kapitanów, żeby zawodnicy mogli sobie pograć, jeśli chcieli.

Jak większość rodziców z przedmieść Marcia kochała sport i go nienawidziła. Nie potrafiła traktować go obojętnie, chociaż wiedziała, że w całym procesie kształcenia jest stosunkowo mało ważny.

Pół godziny spokoju przed rozpoczęciem dnia. Tylko tyle potrzebowała.

Skończyła pierwszą filiżankę, zaparzyła sobie drugą i zabrała się do części gazety poświęconej modzie. W domu nadal było cicho. Weszła na górę, żeby popatrzeć na swoje pociechy. Ryan spał na boku, twarzą do drzwi, tak że z łatwością mogła dostrzec, jak bardzo jest podobny do ojca.

Pokój Patricii był obok. Ona też spała.

— Kochanie?

Patricia się poruszyła, być może coś wymamrotała. Jej pokój, tak samo jak pokój Ryana, wyglądał, jakby ktoś rozmieścił laski dynamitu w strategicznie wybranych szufladach, wysadzając je w powietrze: część rzeczy padła na podłogę, inne bezwładnie zawisły w połowie drogi, udrapowane na komodzie jak polegli na barykadzie podczas rewolucji francuskiej.

— Patricio? Za godzinę masz próbę.

— Już się obudziłam — jęknęła dziewczynka, a jej głos świadczył o tym, że wcale tak nie jest.

Marcia poszła do następnego pokoju, należącego do Haley, i zajrzała do środka.

Łóżko było puste.

A także zaścielone, jednak to nie było żadnym zaskoczeniem. W przeciwieństwie do pokoi rodzeństwa pokój

Haley był schludny i czysty, idealnie uporządkowany. Jak wystawa salonu meblowego. Na podłodze nie leżały ubrania, a wszystkie szuflady były zamknięte. Trofea — a było ich wiele — stały w idealnych rzędach na czterech półkach. Czwartą półkę Ted powiesił niedawno, po tym gdy drużyna Haley wygrała wakacyjny turniej we Franklin Lakes. Haley mozolnie podzieliła trofea na cztery półki, nie chcąc, by na nowej stało tylko to jedno. Marcia nie wiedziała dlaczego. Zapewne Haley nie chciała, by wyglądało na to, że oczekuje kolejnych, ale głównym powodem była jej niechęć do wszelkiego nieładu. Wszystkie trofea ustawiała w idealnie równych odstępach, zmniejszając je w miarę zdobywania kolejnych nagród — najpierw co dziesięć centymetrów, potem siedem, potem cztery. Haley lubiła równowagę. Była dobrą dziewczyną i chociaż było to cudowne, ambitne, zabawnie skore do rywalizacji dziecko, które bez przypominania odrabiało lekcje i nie chciało, by ktoś o nim źle myślał, miało charakter graniczący z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi, co niepokoiło Marcie.

Teraz zastanawiała się, o której Haley przyszła do domu. Haley nie musiała wracać o wyznaczonej godzinie, ponieważ była odpowiedzialna, przed maturą, i nigdy tego nie wykorzystywała. Zmęczona Marcia poszła spać o dwudziestą drugą. Ted, w stanie ustawicznej „gotowości”, wkrótce podążył za nią.

Marcia już miała pójść dalej i zapomnieć o sprawie, gdy coś, nie wiedziała co, kazało jej nastawić pranie. Ruszyła do łazienki Haley. Młodsze dzieci, Ryan i Patricia, uważały,

że „pojemnik” to eufemistyczne określenie podłogi lub wszystkich innych miejsc, lecz Haley oczywiście obowiązkowo i nabożnie co wieczór wkładała noszone przez cały dzień ubranie do kosza na brudną bieliznę. I właśnie wtedy Marcia poczuła, że w jej piersi zaczyna formować się kamień.

Kosz był pusty.

Kamień w piersi rósł, gdy Marcia sprawdzała szczoteczkę do zębów Haley, a potem umywałkę i prysznic.

Wszystko suche jak piasek.

Kamień w piersi rósł, gdy zadzwoniła do Teda, starając się ukryć strach w głosie. Narastał, gdy pojechali na ćwiczenia kapitańskie i dowiedzieli się, że Haley nie przyszła. Narastał, gdy dzwoniła do przyjaciółek córki, podczas gdy Ted rozsyłał e-maile — i nikt nie wiedział, gdzie jest Haley. Narastał, gdy zadzwonili na policję, która — wbrew protestom Marcii i Teda — uważała, że Haley uciekła z domu, żeby upuścić sobie trochę pary. Narastał, gdy po czterdziestu ośmiu godzinach sprawą zajęło się FBI. Narastał, gdy po tygodniu nadal nie natrafiono na ślad córki.

Jakby zapadła się pod ziemię.

Minał miesiąc. Nic. Potem dwa. Nadal ani słowa. Aż w końcu, po ponad dwóch miesiącach, przyszła wiadomość i ten kamień, który rósł w piersi Marcii, który nie pozwalał jej oddychać i spać po nocach, przestał rosnąć.

1

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

— Czy przysięga pani mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak dopomóż Bóg?

Wendy Tynes powiedziała, że tak, zajęła miejsce na podium i się rozejrzała. Miała wrażenie, że jest na scenie, do czego była przyzwyczajona jako reporterka wiadomości telewizyjnych i w ogóle, ale tym razem czuła się nieswojo. Zobaczyła rodziców ofiar Dana Mercera. Cztery pary. Byli tutaj codziennie. Z początku przynosili zdjęcia swoich dzieci, oczywiście niewinnych, i trzymali je w górze, ale sędzia im tego zabroniła. Teraz siedzieli w milczeniu, patrząc, i to w jakiś sposób było jeszcze bardziej przygnębiające.

Ławka była niewygodna. Wendy zmieniła pozycję, skrzyżowała, a potem wyprostowała nogi i czekała.

Flair Hickory, znakomity prawnik obrony, wstał i Wendy po raz kolejny zadała sobie pytanie, jak Dana Mercera było na niego stać. Flair jak zawsze miał na sobie szary garnitur

w różowe prążki, różową koszulę i takiż krawat. Przeszedł przez salę w sposób, który łagodnie można by nazwać „teatralnym”, a w istocie bardziej przypominał coś, co mógłby zrobić ekstrawagancki pianista Liberace, gdyby odważył się naprawdę zaszaleć.

— Pani Tynes — zaczął z zachęcającym uśmiechem. Taki miał styl. Był gejem, owszem, ale wygrywał to w sądzie jak Harvey Fierstein w skórzanych motocyklowych spodniach grający jazzmana Lizy’ego. — Nazywam się Flair Hickory. Dzień dobry pani.

— Dzień dobry — odpowiedziała.

— Pracuje pani przy realizacji tego sensacyjnego tabloidowego programu telewizyjnego zatytułowanego *Przylapani na gorącym uczynku*, prawda?

— Sprzeciw — powiedział oskarżyciel, prokurator Lee Portnoi. — To program telewizyjny. Nie ma dowodów popierających twierdzenie, iż ten program jest sensacyjny bądź tabloidowy.

Flair się uśmiechnął.

— Czy chciałby pan, żebym przedstawił dowód, panie Portnoi?

— To nie będzie konieczne — rzekła sędzia Lori Howard głosem, który już zdradzał zmęczenie. Zwróciła się do Wendy: — Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Już nie pracuję przy realizacji tego programu — powiedziała Wendy.

Flair udał zdziwionego.

— Nie? Jednak pracowała pani?